



WORLD  
WARCRAFT

# Wierszem pisana chwila

*Madeleine Roux*

Lustrzaną taflę wody rozcinał dziób łodzi. Było przeraźliwie zimno. Lor'themar Theron uparł się na ten staromodny środek transportu. Nie chciał się teleportować i w mgnieniu oka pojawić tuż pod bramami Suramaru. Wolał zbliżyć się do miasta jak dawni podróżni. I oto ono. Potężna metropolia wyłaniała się powoli z mgły, a jej rozświetlone kopuły i majestatyczne iglice roztaczały tajemniczy blask ponad wodami zatoki. Przypominały ażurowe rzeźby stworzone ręką jakiegoś starożytnego bóstwa.

„Bóstwa...” – zadumał się Lor'themar. W istocie, mistyczny architekt wznosił to miasto z wielkim wyczuciem smaku i delikatnością czułego kochanka – bo choć Suramar stał od ponad dziesięciu tysiącleci i mógłby stać przez kolejne tysiące lat, to sprawiał wrażenie, że nawet najłżejszy podmuch wiatru obróci go w pył.

Łódź minęła imponujący gmach centralny Portu Astravar i skierowała się do Księżycowej Przystani, gdzie bujne purpurowe paprocie rozwijały się na jej powitanie niczym sztandary, a jasnofioletowe pąki kołysały się pod baldachimem ukwieconych szafirowych gałęzi. Przemknęła w wielkim cieniu rzucanym na wodę przez Siedlisko Nocy ku pustemu pomostowi.

Theron długo dał na siebie czekać pierwszej arkanistce Thalysrze, nim przyjął jej zaproszenie. W końcu zabrakło mu wymówek, by odwlekać wizytę. Nie mógł narzekać na brak chęci – to czasu nie miał w nadmiarze. Jako przywódca sin'dorei i członek nowo powołanej Rady Hordy dzielił uwagę między sprawowanie rządów w Srebrnej Lunie a rozwiązywanie palących problemów Orgrimmaru. Dlatego teraz Lor'themar czuł się rozdarty. Miał obowiązki, jednak ta podróż do nich nie należała. Była przyjemnością, której nie potrafił sobie odmówić. Chęć spotkania z Thalysrą dryfowała gdzieś w zapomnianym zakątku jego serca, gdzie osobiste pragnienia i potrzeby usychały zaniedbane i niemal zapomniane. Czasem Lor'themar pozwalał sobie na luksus popołudnia z książką, wolnego od nawału obowiązków, ale nie był w stanie wypoczywać. Porzucał wtedy lekturę i szukał ukojenia w swoim dzienniku, gdzie spisywał wiersze i urywki poezji, które coraz częściej poświęcał swojej jedynej muzie – pewnej przepięknej zmierzchowej lilii.

Podróż wydawała mu się niemal niedorzeczna. Czuł się zupełnie nie na miejscu na pokładzie tej niepozornej łupiny, niesionej po spokojnej toni zatoki ku wspaniałemu miastu, gdy miał za towarzysza jedynie wioślarza wywodzącego się z dzieci nocy. Ten czas nie należał przecież do Theron – był własnością jego ludu i Hordy.

Lor'themar obejrzał się, szukając miejsca, skąd wyruszyli. Gęsta mgła napierała ze wszystkich stron, jak gdyby próbowała schwytać łódź w pułapkę. Jakby chciała powiedzieć: „Za późno na wątpliwości. Dokonałeś już wyboru”. Wioślarz rzucił mu pytające spojrzenie, ale Lor'themar nie zareagował, spoglądał nadal ponad głową elfa na kołyszące się w dokach srebrne latarnie. Nie szykował się na wojnę, jednak wokół jego piersi zaciskała się znajoma stalowa obręcz. Wiedział, że wyczekiwanie i lęk to dwie – często niemożliwe do odróżnienia – strony tej samej monety. Podczas gdy jego serce i umysł zaprzętały te nierozzerwalnie splątane emocje, ręce Lor'themara zaciskały się na całym dobytku, który zabrał ze sobą. Były to dwa przedmioty: miecz u jego pasa i dziennik w skórzanej oprawie, wytartej mocno od spotniałych dłoni, zaciskających się na okładkach pod wpływem gwałtownych uczuć.

Lor'themar zadrżał z zimna i otulił się szczerzej ciężką szkarłatną peleryną haftowaną w złote symbole słońca. Jego oddech rozprasał się i nikił w kurczącej się przestrzeni dzielącej łódź od nabrzeża. Wioślarz zwolnił, aby przepłynąć między parą smukłych żurawi. Ptaki nie przejmowały się zbyt ani zimnem, ani intruzami, którzy wtargnęli do ich świata.

– Złapcie się czegoś, panie – ostrzegł wioślarz, zanim dziób uderzył o nabrzeże. Shal'dorei wyciągnął rękę, sprawnie uchwycił najbliższy pacholek i przytrzymał łódź na tyle długo, by jego pasażer mógł spokojnie wysiąść.

– Dzięki za bezpieczną przeprawę – rzekł Lor'themar. Wioślarz odpowiedział lekkim skinieniem głowy, uśmiechnął się, a następnie odepchnął łódź od nabrzeża i wypłynął z powrotem na spokojne, skąpane w purpurowym blasku wody.

– Nareszcie jesteś.

Lor'themar obrócił się zaskoczony. Pierwsza arkanistka Thalysra postanowiła powitać go osobiście zamiast wysłać na spotkanie służbę. Spoglądała ze schodów wiodących do Księżycowej Przystani, a jej głos z łatwością niósł się po wodzie. Stała tam – piękna, dumna, nieruchoma i lawendowa niczym majestatyczne ptaki, które gdzieś za nim w ciszy kontynuowały kąpiel. Lor'themar skłonił się lekko, po czym w kilku krokach przemierzył niewielką odległość dzielącą nabrzeże od stopni prowadzących z doków na Złoty Rynek, którego zgiełk cichł powoli z nadejściem

wieczora. Uścisk stalowej obręczy wokół jego piersi nie zelżał. Wręcz przeciwnie – zacieśniał się z każdym krokiem, który przybliżał regenta do kobiety.

Thalysstra rozpromieniła się, gdy do niej podszedł. Spomiędzy poły wyszywanej runami peleryny wyłoniła się jej smukła fioletowa dłoń. Pierwsza arkanistka porzuciła dworski strój na rzecz okrycia lepiej chroniącego przed wieczornym chłodem. Bogato zdobiona aksamitna szata była bez wątpienia nasyciona czarem ogrzewającym. W srebrnobiałe warkocze elfki wpięty był prosty, kryształowy diadem.

Lor'themar przyjął wyciągniętą na powitanie suchą i chłodną w dotyku dłoń Thalysstry. Poczul zapach jej perfum. Bez. I coś jakby... agrest? Będzie go teraz prześladować.

– Nie wierzę własnym oczom! – uśmiechnęła się, gdy Lor'themar płynnym ruchem ujął ją pod ramię. Razem skręcili w kierunku miasta i rozpoczęli wspinaczkę po schodach. – Mogłeś mi dać więcej czasu na przygotowania, lordzie regencie. Musiałam odwołać sześciu niezadowolonych poetów z wypraw w poszukiwaniu natchnienia. Spędziłam wiele godzin, wysłuchując ich pełnych pretensji przemów. Na szczęście prozą.

– Proszę o wybaczenie – odpowiedział Lor'themar głębokim barytonem. – Jak nietrudno ci będzie zgadnąć, porzucenie obowiązków w Srebrnej Lunie, zwłaszcza w związku ze sprawami natury tak... osobistej, było dla mnie pewnym wyzwaniem.

Thalysstra zbyła jego uwagę machnięciem ręki. Wokół znów rozniósł się zapach jej perfum. Theron uznał, że ten przeklęty bez przyprawi go w końcu o zawroty głowy.

– Nie przepraszaj, proszę. Trochę bólu istnienia im nie zaszkodzi. Cierpienie to wszak doskonała pożywka dla poezji. A jak się sprawy mają w Quel'Thalas? Wciąż stają mi przed oczyma te ścieżki wijące się wśród złota i czerwieni drzew, te barwne liście, które słał mi pod stopy wiatr pachnący aromatycznym dymem...

– Z twych ust już płynie poezja, o pani. Czuję się nieprzygotowany do naszego konkursu – uśmiechnął się Lor'themar, ale w istocie chłonał każde jej słowo. Jedyne myślenie o Srebrnej Lunie i jej złotych iglicach wywoływała u niego ukłucie w sercu. – Moja nieobecność bez wątpienia nie ujdzie uwadze możnych i nie pozostanie bez komentarza. Będą mi miłe za złe, że trwonię cenny czas. Na szczęście, gdy opuszczałem Quel'Thalas, nie zostawiłem pożarów wymagających niezwłocznego ugaszenia.

Nie było to do końca zgodne z prawdą. Halduron Jasnoskrzydły i Rommath przejawiali niezdrowe wręcz zainteresowanie jego wizytą w Suramarze. Nim Lor'themar opuścił Srebrną Lunę,

usłyszał nawet od Rommatha: „Jedź, ty zamroczony miłością błażnie, albo, przysięgam, uduszę cię własnymi rękoma”.

Wspinali się po schodach niespiesznie, krok za krokiem. Perłowe balustrady ciągnęły się wzdłuż drogi do centrum miasta. Chłód wiejący od morza zelżał nieco, gdy dotarli do szybko pustoszejących placów handlowych, patrolowanych przez uzbrojonych po zęby elfich gwardzistów.

– Nonsens – skwitowała jego słowa Thalyssra, dając mu przy tym lekkiego kuksańca w bok. Lor'themar mocniej zacisnął dłoń na swym dzienniku. – Cóż mogą ci mieć za złe? Będziesz u nas gościć zaledwie dwa dni!

– Ta wizyta to dla mnie prawdziwy luksus. Obowiązki dotyczące choćby samego Orgrimmaru...

– Lor'themarze... – Thalyssra mocniej ścisnęła mu ramię. Nawet przez gruby materiał płaszcz wyczuła napięcie Theron. – Tak dalej być nie może. – Zatrzymała się i cofnęła o krok, aby go lepiej widzieć. Jej jaśniejące niczym brylanty oczy skrzyły się urzekającym, wewnętrznym blaskiem w zapadających ciemnościach. Lor'themar z trudem odwzajemnił jej spojrzenie w obawie przed nieuchronnie zbliżającą się reprimendą, lecz Thalyssra tylko ujęła jego dłoń i nie pozwoliła mu odwrócić wzroku. – Porzuć troski, choćby na te dwa dni. To... zaledwie chwila. Nasza chwila poza czasem. Te smutki i obawy, którymi zaprzątasz sobie głowę, niechaj się zmieniają w kamienie i opadną na dno zatoki. Wyłowisz je sobie w drodze powrotnej. A na razie, dopóki tutaj przebywasz, niech je pochłonie woda. Zgoda?

Lor'themar uśmiechnął się szeroko. Jej słowa, wypowiedziane niskim, kojącym tonem, były niczym magiczne zaklęcie, które odpędzało troski. Mimo to stalowa obręcz zaciskająca się wokół jego piersi nie opadła. Nie miał już jednak złudzeń, że tak się stanie. Przynajmniej nie do czasu, gdy znowu będą ich dzielić setki mil.

– Zgoda – odpowiedział. – Niech to będzie nasza skradziona chwila poza czasem.

– Trzymam cię za słowo – Thalyssra skinęła ostrzegawczo głową.

– Zatem przyrzekam ci to, moja pani. Tej obietnicy nie zamierzam złamać.

– Wyśmienicie. – Thalyssra ponownie ujęła go pod ramię i poprowadziła przez plac handlowy. – Chcę, żebyś zachował lekkość ducha i świeżość umysłu. Przydadzą ci się podczas naszego małego konkursu. Nie ulega co prawda wątpliwości, że przegrasz z kretesem, ale chcę cię pokonać w ucziwej walce.

Na te słowa Lor'themar uśmiechnął się znacząco.

– Miła pani, toż to niezdrowa przesada. Wszak z wysokiej wieży boleśniej się spada.

– Ha! – parsknęła Thalyssra. – Już rymujesz! I jakież banalne to rymy! Zdaje się, że nie masz ze mną żadnych szans, lordzie regencie. Jaka szkoda! Zaszedłeś tak daleko jedynie po to, by poznać gorzki smak porażki!

– Zatem nadaremno odwołałaś tych wszystkich poetów z podróży – Lor'themar wzruszył ramionami.

– Bynajmniej – odparła Thalyssra, gdy przechodzili obok bogato zdobionych, otwartych palenisk. Płonący w nich magiczny ogień rozświetlał twarze obojga rozmówców purpurowym blaskiem. – Nie nadaremno, Lor'themarze. Uczyniłam to dla tej jednej wykradzonej czasowi chwili. Dla nas.



Na Dziedzińcu Nocy zgromadziła się nieliczna, lecz zaciekawiona publiczność. Thalyssra nie przesadzała – pół tuzina pomarszczonych shał'dorei wpatrywało się w Lor'themara w pełnym napięciu oczekiwaniu. Theron zgadywał, że byli to owi osławieni poeci. Dostrzegał pośród nich kilka bardziej przyjaznych twarzy. Niektóre zarumieniły się już od lejącego się szerokim strumieniem tajemnego wina. Wyglądało na to, że niezobowiązujący zakład, który zawarł z Thalyssrą w Nazjatarze, wymknął się nieco spod kontroli i przerodził w pełnoprawny spektakl. Lord regent Srebrnej Luny uznał to za komplement. Thalyssra musiała pokładać wielkie nadzieje w nim i jego umiejętnościach – w przeciwnym razie zaproszenie tutaj publiczności byłoby grą niewartą świeczki.

– A zatem niebawem zaczynamy. I to bez rozgrzewki – mruknął.

– Głowa do góry! Kiedy zakończymy nasz występ, nie zabraknie dla ciebie jadła ni napitku. Nieczęsto mamy zaszczyt gościć głowy obcych państw. – Thalyssra poprowadziła go ku zgromadzonym dzieciom nocy. – Ufam, że znajdziesz zrozumienie dla ich zapału, by jak najszybciej cię wysłuchać. To ważne, spektakularne wręcz wydarzenie w najnowszych dziejach Suramaru. Dowodzi bowiem, że nasze piękne miasto jest pełnoprawnym graczem na arenie międzynarodowej, choć dopiero niedawno wyzwolone zostało spod obcej okupacji. Jestem przekonana, że dzisiejsze święto poezji przejdzie do historii i zostanie uwiecznione dla potomności w licznych pieśniach i poematach.

– Zatem dołożę wszelkich starań, by nie zawieść pokładanych we mnie nadziei – odrzekł Lor'themar. Chciał, by jego słowa zabrzmiały żartobliwie, ale w środku cały drżał. Przyjazny poetycki pojedynek między nim a pierwszą arkanistką miał pozostać sprawą prywatną. Żartem, który

rozumiało tylko ich dwoje, dowodem na to, że łącząca ich więź stawała się coraz silniejsza. Nie przypuszczał, że zostanie postawiony przed publicznością... Co gorsza, entuzjazm zgromadzonych na widowni elfów oceniał na co najwyżej umiarkowany.

– Mój drogi Lor'themarze, nie bierz sobie tego wszystkiego aż tak bardzo do serca! – Thalyssra podała mu z szerokim uśmiechem jeden z dwóch wypełnionych tajemnym winem pucharów, które porwała wcześniej ze srebrnej tacy, niesionej przez przechodzącego obok sługę.

Lor'themar wiedział, że ma do czynienia z trunkiem znacznie mocniejszym niż zwykłe wino, zatem sączył go niespiesznie. Pierwszy łyk był wręcz obezwładniający – niemal tak samo jak błysk w oku pierwszej arkanistki.

– Jeszcze przed chwilą emanowałaś czystą brawurą, pani – przypomniał jej. Zgromadzona publiczność zajmowała powoli miejsca na widowni, szepcząc między sobą beztrosko. – Czyżby naszły cię wątpliwości?

– Ha, skądże! – parsknęła Thalyssra i trąciła lekko kielichem o puchar Lor'themara. – Wychodzę jednak z założenia, że dużo lepiej jest przegrywać z wdziękiem. Wprost nie mogę się doczekać, by przekonać się na własne oczy, jak poradzisz sobie z porażką.

Lor'themar powstrzymał się od ciętej riposty i upił kolejny łyk tajemnego wina. Ze spowitej mrokiem części dziedzińca wyłonił się sługa niosący drewniane podium. Widownię przygotowano w przykrytym ciemnośliwkową kopułą pawilonie, za którym strzelała w niebo smukła statua. Do szeptu fal obmywających fundamenty dziedzińca osadzonego na wodach Zatoki Suramarskiej dołączyła, płynąca z jednej z niezliczonych wieżyc, pieśń śpiewana przy akompaniamencie harfy. Ze swojego miejsca Lor'themar widział plac handlowy i rzędy kopuł takich jak ta, pod którą się znajdowali. Każda lśniła purpurowoczerwonym blaskiem niczym krople doskonałego wina na marmurze.

Kiedy podium było gotowe, Lor'themar i Thalyssra stanęli na nim wspólnie. Pierwsza arkanistka odwróciła się, by przemówić do zgromadzonej publiczności – czy może raczej jurorów w tym konkursie. Tymczasem Lor'themar wiercił się niespokojnie. Przywykł do wygłaszania gorących przemów mających porwać żołnierzy do walki. Publiczna recytacja poezji, którą pisał do szuflady, była dla niego doświadczeniem całkowicie nowym.

– Czcigodni wieszczowie i obywatele Suramaru! Pragnę was powitać i życzyć udanego wieczoru! – Thalyssra wzniosła kielich. Zgromadzeni na widowni sha'dorei podążyli za jej przykładem. – Zaszczycił nas dziś swą obecnością gość zupełnie wyjątkowy! Tropiciel ze Srebrnej Luny, przywódca sin'dorei, krwawy elf, którego męstwo i oddanie sprawom swego ludu nie znają

granic. Lecz w piersi tego nieustraszonego wojownika bije serce poety! Dziś wieczorem będziemy mieli okazję usłyszeć z jego ust, jakimi emocjami karmi się odległe Quel'Thalas. Wierzę, że zgotujecie mu serdeczne przyjęcie i w skupieniu wysłuchacie utworu, którego recytacją nas uraczy. Ponieważ jest naszym gościem, będzie miał zaszczyt wystąpić jako pierwszy.

Lor'themar zamrugnął nerwowo, ale zmusił się do uśmiechu i skłonił, gdy zgromadzeni sha'dorei przywitali go brawami. Wydawali się nim żywo zainteresowani – był przecież obcym, w dodatku sin'dorei, a do tego gościem honorowym ich przywódczyni. Nic dziwnego, że bacznie mu się przyglądali.

– To dla mnie wielki zaszczyt, gościć w waszym starożytnym mieście, mogącym się pochwalić tak bogatą tradycją, i stać w tak zacnym gronie wybitnych myślicieli i artystów – rzekł Lor'themar. Jego wzrok spoczął na Thalysrze, która usunęła się w cień pawilonu. Chociaż skrywały ją ciemności, dla Lor'themara istniała tylko ona. – Żałuję jedynie, że tak długo zwlekałem z przyjęciem zaproszenia pierwszej arkanistki – zakończył, po czym odchrząknął i wyciągnął spod płaszcza oprawiony w skórę dziennik. Podczas przeprawy Lor'themar miał dość czasu, by wybrać, co zaprezentuje. Poważny utwór o zabarwieniu politycznym wydawał się odpowiedni dla tego rodzaju publiczności. Wątpił, by nobliwe grono wiekowych suramarskich poetów spojrzało przychylnym okiem na bardziej sentymentalne dzieła, które pisywał ostatnimi czasy, gdy nawiedzały go nieproszone myśli o pięknej arkanistce. – Przedstawię tradycyjny utwór poetycki w stylu Srebrnej Luny. – Na widowni rozległy się pomruki wyrażające zainteresowanie. – Sonetowi temu nadałem tytuł „Żmija”.

Lor'themar rozprostował dłońią strony dziennika i zerknął raz jeszcze na Thalysrę, która nieznacznym skinieniem głowy dała mu znak, że może zaczynać. Poprawił zatem pelerynę, wziął głęboki oddech i rozpoczął deklamację.

Spójrzmy na żmiję, silny się nie boi  
Słabego jadu jej, na pokaz kłów.  
Chociaż w ciemnościach wyrusza na łów,  
Żmija w królewskie barwy łuski stroi.

Ofiar wśród słabych tylko wypatruje,  
Złamanych duchem lub u śmierci drzwi,  
Truciznę cicho wpuszcza im do krwi,  
A skradzionego życia nie żałuje.



Gdyś jest złamany pod losu ciężarem,  
Mrocznej udręki stajesz się odbiciem –  
Chwila słabości zawsze dla niej darem.

Strzeżmy się żmii pełzającej skrycie,  
Rozgrzejmy serca w nas niezłomnym żarem,  
Ta siła bowiem ocali nam życie.

– Dziękuję – gdy Lor'themar zakończył recytację, siedzący na widowni poeci i przedstawiciele suramarskiej szlachty nagrodzili go oklaskami. Thalyssra wyłoniła się z zacienionego portyku, bijąc bezgłośnie brawo na znak uznania. Nie sposób było nie zauważyć, że zgromadzeni shał'dorei przyjęli jego występ bez nadmiernego entuzjazmu, ale Lor'themar nie miał w zwyczaju dzielenia się swoją poezją z szerszą publicznością. Zresztą wołał oklaski z uprzejmości niż głuchą ciszę.

– Wspaniały występ! – pochwaliła Thalyssra, gdy mijała go, by zająć miejsce na podwyższeniu. – Ja zaś, zgodnie z wielowiekową tradycją tego miejsca, wygłoszę utwór improwizowany. Czyniły tak całe pokolenia shał'dorei przede mną i czynić tak będą nasi potomkowie, tworząc poezję w lirycznym uniesieniu, pod wpływem chwili i natchnienia.

„Pod wpływem chwili...” – zadumał się Lor'themar, wsparłszy się o pobliską kolumnę. Z przyjemnością śledził grę purpurowych refleksów na szatach Thalyssry, której słowa wywołały na widowni stłumione okrzyki zachwytu. Chwila. Ich chwila poza czasem. To, że Thalyssra zdecydowała się improwizować, zrobiło na Lor'themarze wielkie wrażenie, ale wcale go nie zaskoczyło. Wiedział wszak, że to naprawdę niezwykła kobieta.

Thalyssra uniosła podbródek i rozłożyła szeroko ramiona, jakby obejmowała ciemniejący wieczór i blask wschodzących gwiazd w serdecznym uścisku. Lor'themar wychylił się, podobnie jak zasiadający na widowni poeci i inni widzowie, przyciągani do niej niczym za sprawą jakiejś tajemniczej siły. Wszyscy byli całkowicie skupieni tylko na elfce.

Noc patrzy na nas!  
Szpetnych. Pięknych.  
Okryci jej bezkresnym płaszczem  
tańczymy, wzdychamy.

Stajemy się ciałem i czynem.  
Stajemy się.  
Oto jestem – weź moje dłonie, aby chwycić kielich.  
Weź moje usta, by zaczerpnąć pierwszy oddech.  
Weź moje stopy, by postawić swój pierwszy krok  
i ruszyć do tańca.  
Upadniesz, a podniosę cię.  
Roześmiesz się, a będę się weselić z tobą.  
Aż nasze oczy rozbłyszczą gwiazdami  
i zobaczymy siebie – jeden kosmos.  
Jedno serce.

Kompletna cisza, która zapadła po wystąpieniu Thalyssry, była elektryzująca w swej pełni, jakby wszyscy zgromadzeni na dziedzińcu słuchacze dzielili to samo spojrzenie i oddychali jedną piersią – zupełnie jak w usłyszanym przez nich właśnie wierszu. I podobnie, jak gdyby byli jednym ciałem, wszyscy poderwali się do owacji, dołączając do stojącego już Lor'themara, oczarowanego pełną emocji recytacją znacznie bardziej niż jakością samej poezji. Mógł się spodziewać, że Thalyssra porwie widownię. Pierwsza arkanistka była kobietą olśniewającą niezależnie od pory dnia i nastroju. Ale gdy stała na dziedzińcu, skąpiana w świetle gwiazd, pogrążona w nieomal wieszczym transie, mogła przyprawić o zawstydzenie nawet samą Białą Panią.

– Cudowna improwizacja! – wykrzyknął poeta siedzący po prawej stronie Lor'themara, dając wyraz myślom, których lord regent nie ubrał jeszcze w słowa. Włosy elfa, który właśnie przemówił, spływały srebrną kaskadą na jego ramiona niczym kunsztowna peleryna. Szyję poety zdobił duży, oszlifowany ametyst. Jego szaty zaszeleściły cicho, gdy, wspiąwszy się na podwyższenie, złożył pierwszej arkanistce głęboki ukłon i zajął miejsce obok niej.

– Jesteście dla mnie zbyt łaskawi – szepnęła Thalyssra, dotykając szyi palcami prawej dłoni.

– Mój asystent Glandren spisał każde twoje słowo. – Poeta wskazał na młodzieńckiego sha'dorei, który posłusznie zbliżył się do podium. – Ach, oto i on! Nie mogłem pozwolić, by zagubił się choć jeden z twych wersów, pierwsza arkanistko. Chciałbym ci zadać tak wiele pytań o twój utwór! Jestem pewien, że pozostali zgromadzeni goście podzielają moje zdanie! Oczywiście dyskusji musi towarzyszyć więcej wina...

Lor'themar ledwo zdusił jęk.

– Może później – zaproponowała łagodnie Thalyssra, kładąc dłoń na przedramieniu poety. – Zróbmy wpierrw krótką przerwę na drobny poczęstunek. Nasz gość na pewno już zgłodniał. Kiedy nasyci głód, ugasi pragnienie i poczuje się bardziej swobodnie w naszym towarzystwie, będziesz mu mógł zadać tyle pytań, ile tyko zechcesz, mój drogi Rerdynie.

– T-tak. Oczywiście. – Rerdyn skłonił się ponownie, po czym chwycił Glandrena za rękaw i odciągnął go w stronę widowni. – Jesteśmy do twojej dyspozycji, pierwsza arkanistko.

Rerdyn nie omieszkiał jednak rzucić zimnego spojrzenia Lor'themarowi, jakby to właśnie jego winił za tak rażący brak poszanowania decorum. Lorda regenta nieprzesadnie to obeszło. Zdecydowanie wolał, by rozmowa z pierwszą arkanistką o poezji odbyła się na osobności. Opinie zmurszałych poetów nie miały dla niego większego znaczenia, liczyło się wyłącznie jej zdanie.

– A zatem postanowione! Zbierzemy się ponownie za, powiedzmy... dwie godziny? – Thalyssra zwróciła się tym razem do wszystkich zgromadzonych na dziedzińcu elfów. Kilku gości wyglądało na mocno zawiedzionych koniecznością długiego oczekiwania, ale pierwsza arkanistka zignorowała ich skwaszone miny i skierowała kroki prosto do Lor'themara. Ujęła go za ramię i wyprowadziła z pawilonu. Za nimi – w odległości zapewniającej dyskrecję – podążył jedynie sługa niosący tacę z winem.

– Czytasz mi w myślach – powiedział Lor'themar z uśmiechem, gdy opuścili dziedziniec i okrążyli jedną z wieżyc, kierując się ku wąskim schodom. – Zareagowałaś w samą porę.

– Mają jak najlepsze intencje – westchnęła Thalyssra. – I naprawdę cenię sobie ich zdanie, w końcu to jedni z najbardziej utalentowanych artystów w całym Suramarze. Ale zwłaszcza Rerdyn... no cóż, ma tendencję do popadania w wielopoziomowe dygresje. Jego przemowy zniosę zdecydowanie lepiej po sutej kolacji.

Wspiąwszy się po krętych schodach, trafili na niewielki taras. Czekał tam zastawiony stół i dwa krzesła. Na półmiskach podano lekkie przystawki: nocgruszki w syropie oraz marynowane jajka czapli piaskowej. Służący poczekał, aż Lor'themar przysunie Thalyssrze krzesło, po czym napełnił puchary winem i dyskretnie się oddalił.

Lor'themar siedział bez słowa. Sycił oczy widokiem nocnego portu i wsłuchiwał się w melodię, którą gdzieś ponad ich głowami podjął na nowo nieznany harfiarz. Lord regent zamknął oczy, otuliło go przyjemne ciepło i spokój... Kiedy zdał sobie z tego sprawę, aż wyprostował się ze zdziwienia. Niemal zapomniał o znajomym uścisku w piersi, który zawsze przywoływał go do porządku... ale nie, on wciąż mu towarzyszył, niczym nielubiany domownik.

– Coś nie tak, Lor'themarze? – Thalyssra spojrzała na niego znad napełnionego winem kielicha.

– Nic wielkiego, po prostu wracałem myślami do twego nakazu, pierwsza arkanistko – westchnął. – Troski codzienności usiłowały wkraść się chyłkiem w moje myśli, ale staram się przegnać je precz, zgodnie z twym życzeniem.

Thalyssra zaśmiała się radośnie.

– Dopilnuj, by się tak stało. I daj sobie spokój z ceremoniami i tytułaturą. Jestem Thalyssra i życzę sobie, byś tak się do mnie zwracał. A teraz do rzeczy. Nim wpadniesz w krzyżowy ogień pytań naszych znajomych poetów, chciałabym usłyszeć z twych ust kilka odpowiedzi.

– Czyń swoją powinność.

Na te słowa oczy Thalyssry rozbliły drapieżnym blaskiem.

– Utwór, który nam zaprezentowałaś... Zgaduję, że poświęciłaś go upadkowi Kael'thasa Słońcobieżcy. Mam rację?

– W rzeczy samej – potwierdził Lor'themar i podniósł do ust kawałek ociekającej słodkim syropem nocgruszki. Nagle uświadomił sobie, że jest mu niewygodnie, więc poprawił się na krześle. Czy to aby nie miał być przyjemny, wolny od trosk wieczór? Pytanie Thalyssry nieco go rozdrażniło.

– A zatem myślami tkwisz w przeszłości...

– Ostatnio często o nim rozmyślam – przyznał Lor'themar. – Nie tylko o samym Kael'thasie, ale o zdradzie, której się dopuścił wobec naszego ludu, gdy wichry historii rzuciły nas na kolana. Jest też kwestia osobista... Ja... *Ja mu ufałem*. Do diaska! Wierzyłem mu i podążałem za jego przewodem. Niemal doprowadziłem do tego, że nasz lud na zawsze popadł w niewolę przeklętego spaczenia, bo Kael'thas sobie tego życzył!

Thalyssra cicho przytaknęła.

– Takie rany długo się goją.

– A zatrute jeszcze dłużej – zauważył Lor'themar. – I łatwo otwierają się na nowo, gdy nastają niepewne czasy. Jak mógłbym nie wracać myślami do tych wspomnień? Podobieństwa nasuwają się na każdym kroku. Armie Hordy są wyczerpane. Skarbiec świeci pustkami. Zasobów nie starczy nam na długo... Jeśli teraz zadano by nam podstępny cios... Cóż, jestem pewien, że potrafisz sobie wyobrazić, jaki obrót przybrałyby sprawy. – Ze znużeniem rozmasował sobie skronie, po czym potrzaskała głową zrezygnowany. – Jak widzisz, znów wracam do naszej ponurej rzeczywistości.

Uśmiech Thalyssry przygasł, ale nie zniknął całkowicie. Przytrzymując rękaw aksamitnej szaty, przechyliła się i wyciągnęła ku niemu rękę. Lor'themar popatrzył na jej smukłe palce, nim ujął

jej dłoń. I przekonał się, że sam dotyk wystarczył, by odegnąć nękające go ponure myśli. Thalyssra była niczym latarnia, przed której światłem pierzchają ciemności.

– Miałam nadzieję, że moim wierszem zdołam cię poruszyć, ale mam wrażenie, że zupełnie nie zrozumiałeś jego znaczenia. Cóż, trudno. Każę Rerdynowi spalić wszystkie egzemplarze.

– Nie możesz tego zrobić! A już na pewno nie dlatego, że sprawiłem ci zawód...

– Nie zawiodłeś mnie – zapewniła szybko, ściskając jego dłoń. – Nie frasuj się tak, proszę.

Lor'themar zmarszczył brwi.

– Nic z tych rzeczy – odparł zdziwiony. – Jestem może odrobinę zdezorientowany, ale poza tym wszystko w porządku.

– W porządku – Thalyssra wypowiedziała te słowa jak obelgę. Zadrzała i cofnęła rękę, a Lor'themar natychmiast zatęsknił za kojącym ciepłem jej dłoni. Piękna sha'dorei rozsiadła się wygodniej na krześle i odchyliła głowę, odsłaniając długą szyję. Jej blade, magiczne tatuaże zajaśniały, gdy zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. – Nie zawiodłeś mnie, Lor'themarze. Kiedy recytowałam, mówiłam z głębi serca. Chciałam uświadomić wszystkim, również tobie, że radość, choć krucha, jest bezcenna i warta starania. Nastął czas wojny. Cóż z tego? Nie pierwszy to i nie ostatni raz. Masz rację, przyszło nam żyć w niepewnych czasach, ale jestem już na tym świecie dość długo, by wiedzieć, że historia kołem się toczy. Kładłam podwaliny pod nasze imperium i patrzyłam, jak upada, aby znów powstać jak feniks z popiołów. Sama uwiędłam niczym drzewo, które zimą zamiera, by wiosną powrócić do życia i obsypać się kwieciami. Nieobca jest mi rozpacz i euforia, ale nigdy nie uważałam, że wszystko jest zaledwie „w porządku”. Dawałam się bez reszty ponieść tak cierpieniu, jak i rozkoszy.

Lor'themar upił łyk wina, ale nie doczekał się upragnionego odrętwienia. Było tak, jak chciała Thalyssra: jej słowa zdołały go poruszyć.

– Masz rację – odezwał się w końcu. – „W porządku” to takie prozaiczne określenie. Nie pasuje do rozmów o poezji...

– Ani o życiu – dokończyła Thalyssra. Raz jeszcze pochyliła się ku niemu, a na jej twarzy rozkwitł szeroki uśmiech. – Drogi Lor'themarze, wiem, że dźwigasz ciężkie brzemię swego ludu, które powoli przygniata cię do ziemi. Jednak to twój książę ponosi wyłączną odpowiedzialność za swoje decyzje. Jego błędy nie powinny odbijać się na tobie i nie musisz się za nie obwiniać.

Lor'themar wpatrywał się w Thalyssrę bez słowa. Przeszył go lodowaty dreszcz i miał wrażenie, że stoi przed nią zupełnie nagi. Za grubymi murami Srebrnej Luny był u siebie. Bezpieczny, ale i niewidoczny, jakby miasto mogło go pochłonąć i uczynić niewidzialnym dla upiórów, które

nawiedzały go na jawie i we śnie. Teraz jednak Lor'themara nie chroniły żadne mury, za którymi mógłby się skryć, by zyskać poczucie bezpieczeństwa.

– Uporanie się ze zdradą, której doświadczył mój lud... – „Której *ja* doświadczyłem”... – nie przyjdzie łatwo. Potrzeba czasu. Dużo, *dużo* czasu – wycedził.

Thalyssra uniosła powoli brwi.

– Ile konkretnie?

– Nie sposób powiedzieć. Nie da się wszak przyspieszyć procesu gojenia ran. Ani przebaczenia.

Kiedy raz jeszcze sięgnęła po jego dłoń, niemal jej nie przyjął – choć byłaby to dziecinna reakcja, a on tęsknił za jej dotykiem. Kiedy ich palce się splotły, Lor'themar przymknął oczy.

– Znów rozprawiasz o ranach. Dbasz o to, by się zagoiły, czy może codziennie posypujesz je solą, ponieważ dobrze je znasz? – zapytała ostrożnie. – Nie czujesz się dzięki nim dobrze, ale przynajmniej jest to coś, co należy tylko do ciebie?

Lor'themar wzdrygnął się. Kciuk Thalyssry zataczał delikatne kręgi po grzbiecie jego dłoni, jakby chciała zetrzeć z niej patynę czasu. Dobrze pamiętał chwilę, gdy jego książkę obrócił się przeciwko niemu. Przed oczyma duszy stanął mu straszny obraz: nieumarli maszerujący na Quel'Thalas. Przywołał w pamięci okrutne plotki, zasłyszane z ust nieprzychylnych mu sin'dorei, którzy powątpiewali w dobre intencje Kael'thasa i drwili z lojalności Lor'themara. Niemal co noc regenta dręczyły koszarne wizje Słonecznej Studni splugawionej mocą Pustki po tym, jak pozwolił Allerii Bieżywiatr zbliżyć się do tego świętego miejsca.

Lor'themar wiedział jednak, że siedząca naprzeciw kobieta wycierpiała w życiu chyba nawet więcej niż on, a mimo to uśmiechała się często. A teraz była przy nim i służyła mu radą, by zgodził się przyjąć coś, na co we własnym mniemaniu nawet nie zasługiwał.

– Tak, te rany są mi dobrze znane. I owszem, są *moje* – przyznał. – Zostało mi już tak niewiele rzeczy, które należą tylko do mnie... Jeśli wyrzeknę się ran, cóż mi pozostanie? Nic.

– Mylisz się, Lor'themarze. Otwórz szeroko oczy i powiedz mi: co widzisz?

Oczy Lor'themara były już otwarte, choć może nie w znaczeniu, którego życzyłaby sobie Thalyssra. Spojrzał zatem znowu, tym razem uważniej, na cierpliwą, promienną kobietę, siedzącą naprzeciw niego przy stole i przyszło mu na myśl, że chyba już nigdy nie będzie mógł powiedzieć, że u niego wszystko *w porządku*.

– Tak długo krążymy wokół tematu – stwierdził z ironicznym uśmiechem. – Nie wiedziałem...

– Ależ wiedziałeś. I wiesz.

Lor'themar poczuł wzbierającą nagle falę nieśmiałości. Z trudem spojrział jej w oczy. Jednak Thalyssra bez wahania odwzajemniła jego spojrzenie i Lor'themar zmusił się, by nie opuścić wzroku. Efekt był piorunujący.

Lor'themar wstał, nadal trzymając Thalyssrę za rękę. Był gotów osiąść coś więcej niż tylko smutki, zmartwienia i wspomnienia. Był gotów – za jej przykładem – dać się bez reszty ponieść tak cierpieniu, jak i rozkoszy. Ale najpierw rozkoszy.

Posłaniec uznał za stosowne pojawić się w tej właśnie chwili. Młody elf shał'dorei w barwach Suramaru wbiegł po schodach, wpadł na taras i zatrzymał się, spocony i zziębnięty, zaledwie o kilka stóp od Lor'themara. Sługa, który podawał im wcześniej kolację, również wrócił i, raz po raz przepraszając za najście, stanął kilka kroków za posłańcem.

– Wia-wiadomość dla lorda regenta – wysapał młodzieniec. – Obawiam się, że to pilne. Musicie, panie, czym prędzej udać się do Orgrimmaru... – Do posłańca w końcu dotarło, w jakiej sytuacji ich zastał. Spojrział na Lor'themara, potem na Thalyssrę, aż wreszcie jego wzrok spoczął na ich złączonych dłoniach. Młodzian nerwowo przełknął ślinę.

– To... ja już może pójdę.

– Tak uczyni – westchnął Lor'themar. – Wyruszę niezwłocznie... – Zerknął na pierwszą arkanistkę, po czym się poprawił. – ...gdy tylko będzie to możliwe.

– Oczywiście, lordzie regencie. Najmocniej przepraszam za najście, lordzie regencie. Wybaczenia upraszam, lordzie...

– *Na Słoneczną Studnię, zejdź mi z oczu.*

Thalyssra roześmiała się w głos, widząc gwałtowną reakcję Lor'themara. Wkrótce po posłańcu, wprowadzonym niemal siłą przez odznaczającego się znacznie większą przytomnością umysłu sługę, nie pozostał nawet ślad, oprócz kropli potu na posadzce. Pierwsza arkanistka wstała.

– A zatem... – Lor'themar potrząsnął głową i uśmiechnął się lekko. – Na czym skończyliśmy?

– Nie zatrzymam cię na długo... – Thalyssra wtuliła mu się w ramię. Smukła dłoń spoczęła na piersi Lor'themara, który poczuł, jak jego serce rwie się do obejmującej go kobiety. – Chyba że była to jakaś chytra sztuczka, by uciec przed suramarskimi poetami, a ten nieszczęsny posłaniec został przez ciebie uprzednio przekupiony...

– Miałbym uciec i opuścić cię przedwcześnie? – Lor'themar udał oburzenie. – Ranisz mnie, droga pierwsza arkanistko, a przypominam sobie, że mieliśmy już raz na zawsze porzucić temat ran.

– Przypomnij mi zatem, o czym to rozmawialiśmy, nim nam tak bezpardonowo przerwano? –  
Twarz Thalyssry była tak blisko, że czuł jej ciepły oddech na policzku.

Lor'themar wziął głęboki oddech, by uspokoić rozpedzone serce.

– O wiedzy.

– W rzeczy samej – wyszeptała. Thalyssra spuściła powieki, a gdy podniosła wzrok, ich spojrzenia się spotkały. Kiedy Lor'themar patrzył jej w oczy, nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego tak długo pozbawiał się szansy na szczęście.

Wydawało się, że po raz pierwszy w historii świata Thalyssra nie wiedziała, co powiedzieć. Skończył się czas żartów, przekomarzania się i prowokowania. W ciszy, która zapadła, Lor'themar podjął decyzję. Myślami wrócił do wiersza Thalyssry. Wypowiedziane przez nią słowa wryły się mu w pamięć, choć ich autorka chciała, by zaistniały jedynie na chwilę.

Oto jestem – weź moje dłonie, aby chwycić kielich.

Weź moje usta, by zaczerpnąć pierwszy oddech.

„Weź moje usta”. Lor'themar to właśnie zamierzał uczynić. Wreszcie zdał sobie sprawę, że Thalyssra swoim wierszem chciała go zachęcić do działania. Jednak nie potrzebował już zachęty. Bliskość tej kobiety zapierała Theronowi dech w piersi. Nagle opadły go setki wątpliwości, jednak Lor'themar przegnał je precz – później może czekało go cierpienie, odrzucenie i masa trosk, ale *ta chwila* należała tylko do nich. Thalyssra go pragnęła i Lor'themarowi to wystarczało.

Nie opierał się już pokusie tej bliskości. Nie opierał się niczemu, co nastąpiło potem: ani wyczekująco wstrzymanemu przez Thalyssrę oddechowi, ani krótkiej różnicy zdań na temat tego, które z nich powinno odchylić głowę. Ich usta się spotkały. Thalyssra smakowała winem i poezją, a Lor'themar zrozumiał, że należał do niej, bez cienia wątpliwości, i kiedy ujęła jego twarz w dłonie, cały Suramar zatrzymał się na chwilę. Chwilę, która należała tylko do nich.

Nie wypuścił jej z objęć. Świat, który istniał gdzieś tam, poza ich pocałunkiem, mógł jeszcze poczekać.

Koniec



# TWÓRCY

## *AUTORKA*

Madeleine Roux

## *REDAKCJA*

Chloe Fraboni, Allison Irons

## *PRODUKCJA*

Brie Messina

## *KONSULTACJA ARTYSTYCZNA*

Steve Danuser

## *TŁUMACZENIE*

Elżbieta Grzesiak-Niespodziewany, Małgorzata Koczańska